

Sztuka ściemy. O literackich fałszywkach

Co łączy pamiętnik Hitlera, korespondencję pisaną przez znanych i lubianych oraz autobiograficzną relację początkującego pisarza usiłującego wyrwać się z łap narkotykowego nałogu? Niby nic, a jednak dużo: wszystko to fałszywki i ściemy.



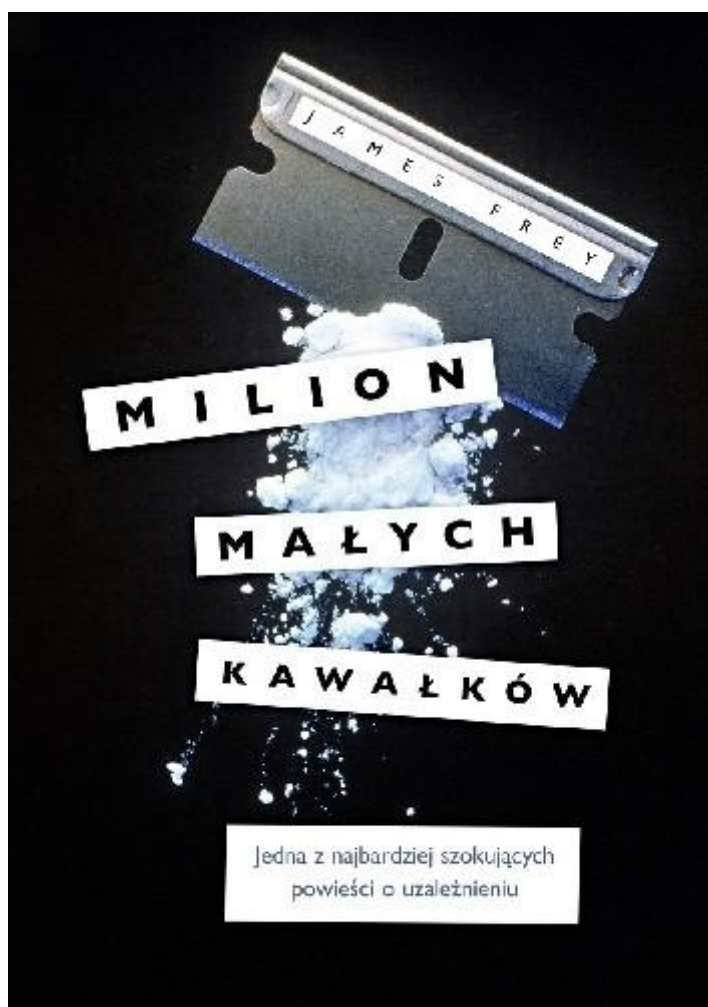
Można się spinać, że historia literatury to, jakby nie było, historia zmyśleń, bo przecież jak świat długi i szeroki, tak pisarze i pisarki klepią na klawiaturach, co im ślina na palce przyniesie.

Lecz nie zmienia to faktu, że obie strony, autora i czytelnika, obowiązuje pewna społeczna umowa regulująca niepisane zasady relacji między twórcami a odbiorcami. Czyli, sięgając po

dowolną książkę, przyjmujemy za pewnik, że nazwisko na okładce informuje nas, kto ją rzeczywiście napisał. Przy czym dopuszczamy, oczywiście, ewentualność, że to jedynie literacki pseudonim albo element jakiejś marketingowej gry, wtedy rzeczony porozumienie nie zostaje naruszone.

Z kolei gdy chodzi o, dajmy na to, pamiętniki albo autobiografie, zakładamy z góry, i to całkiem przecież słusznie, że znajdziemy tam wyznania szczere i autentyczne. A jeśli to jedynie efekt chłodnej, biznesowej kalkulacji, lub we wszystkim pomógł ghostwriter, to chociaż mamy pewność, że myśli wyszły od źródła, którego nazwisko widnieje na okładce.

To wszystko wydaje się być oczywistymi oczywistościami, lecz znamy liczne przykłady spektakularnego zerwania owej umowy, a może raczej należałoby powiedzieć, że aktu podpisania jej przez autora posługującego się ukradzionym dowodem tożsamości.



Tak było na przykład niespełna dwadzieścia lat temu. Wtedy to amerykański pisarz **James Frey** debiutował „**Milionem małych kawałków**”, czyli zapisem swoich zmagania z prochami, dramatyczną, choć niepozbawioną humoru opowieścią z odwyku, świadectwem człowieka, który odbił się od dna. Wszyscy piali z zachwytem, łącznie z Oprah Winfrey, która ma moc kreowania czytelnich gustów i preferencji, a książkę chwaliła wprost ze swojego telewizyjnego tronu.

Między innymi dlatego sprzedawała się jak świeże bułeczki. Nie tylko Winfrey chwaliła debiut Freya, i całkiem słusznie, bo to bardzo dobra powieść, i pewnie nikt nigdy nie miałby do autora żadnych pretensji, gdyby ten nie obstawał przy tym, że to wszystko najprawdziwsza prawda.

Cóż, wyszło na to, że nie. Skończyło się na sprawach sądowych o oszustwo, wydawca zwracał pieniądze, a Frey dalej pisał bestsellery.

Przypadek Freya jest o tyle ciekawy i istotny, że każe zapytać o to, czy tak naprawdę miało znaczenie, co autor przeżył, a co zmyślił? Dla treści książki absolutnie nie, bo była od niej szczerza prawda, lecz publikację tę zawsze będzie szpeciła brzydka rysa.

Z perspektywy czasu można dyskutować, czy mistyfikacja się opłaciła, czy nie, ale, jako że Frey jest dzisiaj milionerem, to odpowiedź wydaje się być prosta. Nie wszyscy kombinujący podobnie spadli na cztery łapy, ale i ich przewinienia były poważniejsze, bo chodziło nie tyle o etykę zawodową, co o zwykłe fałszerstwa.

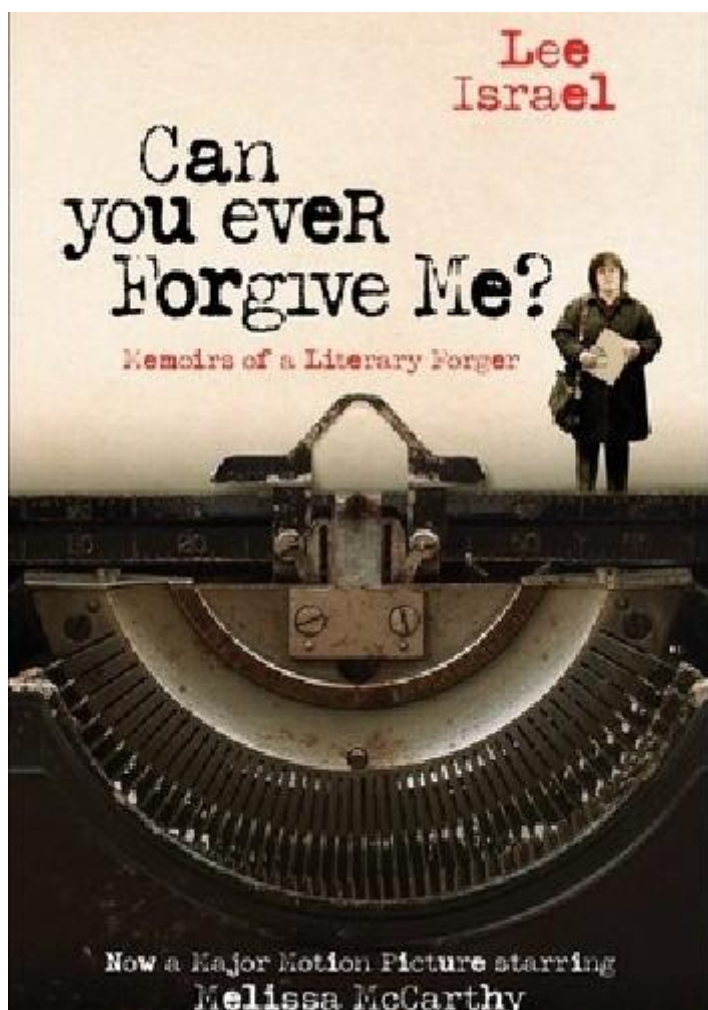


Trzymając się tego, o czym pisałem na samym początku tego tekstu, weźmy owe dzienniki Adolfa Hitlera, które fałszerz Konrad Kujau trząsał najprawdopodobniej całymi latami, bo zatrzymał się dopiero sześćdziesięciu paru tomach, zmyślając nawet istnienie dalszego

ciągu „**Mein Kampf**” i opery napisanej przez dyktatora za młodu. Historia ta, niezwykle ciekawa, jest dość złożona i skomplikowana, opisywał ją nawet późniejszy prozaik, wtedy

dziennikarz, **Robert Harris**, ale skończyło się na tym, że Kujau sprzedał owe pamiętniki dziennikarzowi, a ten poszedł z nimi do swojej gazety. Ostatecznie obu skazano.

Przed wyrokiem nie uciekła też **Lee Israel**, która podrabiała listy napisane, rzekomo, przez dawno zmarłe hollywoodzkie gwiazdy i pisarzy, a z czasem zwyczajnie kradła oryginały z bibliotek, zastępując je swoimi dziełami. Inna sprawa, że zmyślona przez Israel korespondencja była ponoć znakomicie napisana, a i po odbyciu domowego aresztu dziennikarka znalazła pracę jako redaktorka. Pod koniec życia wydała pamiętnik, potem zresztą zekranizowany („**Can You Ever Forgive Me?**”), lecz aż do tamtej pory niczego nie napisała, co zapewne było dla niej dość surową karą. Ale zmyślenie treści to jedno, czym innym jest zmyślenie autora.



Pod koniec lat dziewięćdziesiątych swój debiut, „Sarah”, opublikował niejaki J. T. LeRoy, a powieść miała czerpać garściami z jego trudnego dzieciństwa i młodzieńczych doświadczeń z używkami. LeRoy wydał jeszcze dwie książki, zanim okazało się, że nie istnieje i jest jedynie zmyślonym alter-ego Laury Albert.

Artystka tłumaczyła, że dzięki stworzeniu owej postaci mogła pisać o rzeczach, których nie opublikowałaby pod prawdziwym nazwiskiem, ale z czasem numer ten zaczął przypominać istny performance. I to do tego stopnia, że Albert poprosiła o odegranie roli siostrę swojego partnera, która pokazywała się publicznie, pod osłoną ciemnych szkieł i peruki, jako LeRoy.

Zapewne opowieść ta zostałaby zapamiętana jako całkiem niezłe przedstawienie, gdyby Albert nie podpisała umowy ze studiem filmowym swoim pseudonimem, przez co została skazana za oszustwo. Odbiło się to na jej portfelu, ale nie na karierze. No i napisała o tym doświadczeniu pamiętnik, który potem zekranizowano. Koło się zamknęło.

Podobnych, mniejszych lub większych awantur było sporo. Weźmy chociażby niejakiego Arakiego Yasusadę, japońskiego poetę, ponoć bardzo dobrego, wymyślonego przez, prawdopodobnie, bo ten nigdy się do tego nie przyznał, Kenta Johnsona, profesora literatury, którego utwory publikowało prestiżowe „American Poetry Review”.

Ba, podrabiano sztuki **Szekspira**, grupa amerykańskich dziennikarzy napisała erotyczny bestseller, umyślnie starając się wyprodukować najgorszą możliwą powieść („Naked Came the Stranger”) i są tacy, co upierają się, że apokryf „Moja siostra i ja” faktycznie napisał **Fryderyk Nietzsche**.

Niektóre z tych prób motywowane były żądzą pieniądza, inne faktycznie posuwały się do transgresji mających na celu refleksję nad samą koncepcją osoby autora. Tak czy inaczej, ten alternatywny świat literatury jest niezmiennie fascynujący dla czytelnika. Lecz, uwaga, może on pochłonąć niczym czarna dziura.

Dla zainteresowanych – Alicja Borowiec